

TORUŃSKI INFORMATOR
KULTURALNO-ARTYSTYCZNY

IKAR

LUTY/2026

2/216/2026

ISSN 1731-4704





Fot. Agnieszka Bielecka

Zróbmy sobie ferie. Od złych emocji. Bieganiny. Scrollowania. Zamartwiania. Zastąpmy je uśmiechem. Spacerem. Spotkaniem. Postanowienia noworoczne zapewne zdążyły już wylądować w koszu. Zamiast postanawiać – po prostu zaplanujmy sobie dobry czas.

By takim się stał, zachęcamy do skorzystania z naszych propozycji. Są wśród nich niezwykle ciekawe wystawy, mocno osadzone w toruńskiej rzeczywistości: Stefana Knappa w CSW; artystów związanych z Katedrą Grafiki na Wydziale Sztuk Pięknych UMK, prezentowane w Galerii Wozownia oraz Dworze Artusa; a także bliskie abstrakcji zdjęcia autorki lutowej okładki „Ikara” Anny Bulli-Dembek w Ergotece. Miłośnicy teatru dostaną w tym miesiącu dwie nowe propozycje. Do restauracyjnej kuchni w „Na ostrzu noża” zaprosi Teatr Horzycy. Losy dawnych mieszkańców budynku przy ul. Bydgoskiej 50-52 poznamy w widowisku „Dom, w którym...”, granym oczywiście w tym historycznym obiekcie. W lutowym numerze „Ikara” zapraszamy także do niezwykłego miejsca – nowego, wielofunkcyjnego skrzydła Książnicy Kopernikańskiej, gdzie można spędzić czas na mnóstwo ciekawych sposobów. Nie zapominamy również o tym, że w tym mie-

ściu serca Torunian rozgrzeją walentynki. W numerze zachęcamy też do częstego przystawania przed billboardem Galerii Rusz, która działa w naszym mieście już ponad ćwierćwiecze.

Gościem „Ikara” jest znakomity pisarz i poeta Jacek Dehnel, laureat Nagrody Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. Samuela Bogumiła Lindego. W związku z tym, że pod koniec grudnia Rada Miasta Torunia ustanowiła rok 2026 Rokiem Heleny Grossówny, zamieniamy planowany wcześniej cykl „Z Torunia na sceny i ekrany” na całoroczną serię tekstów o pochodzącej z naszego miasta wybitnej aktorce. Autorami poświęconych jej artykułów będą specjaliści od tego tematu – pracownicy Kujawsko-Pomorskiego Centrum Dziedzictwa, którego oddziałem jest Dom Heleny Grossówny.

Otwórzmy zatem kalendarze i zacznijmy w nich zakreślać dobre chwile lutego.

Magdalena Kujawa
redaktorka naczelna



Ikara w wersji elektronicznej: www.torun.pl, zakładka Ikara; www.facebook.com/ikartorun

Wydawca: Urząd Miasta Torunia, Wały gen. Sikorskiego 8

Redaktorka prowadząca: Magdalena Kujawa (tel. 56 611-88-17, e-mail: ikara@um.torun.pl, www.torun.pl/ikara)

Okładka: Anna Bulla-Dembek / Studio 7A (www.s7a.pl)

Skład i przygotowanie: Marcin Treichel, tel. 608-59-00-71, www.treichel.pl

Druk: DB Print, ul. Chrzanowska 32, 05-825 Grodzisk Mazowiecki, www.dbprint.pl. Nakład: 2500 egz.

Projekt szaty graficznej i logo: Rafat Drzycimski

Uwaga! Informator redagowany jest z wyprzedzeniem, mogą więc nastąpić zmiany w programach niektórych imprez.



■ Nowe wystawy 2-5

Alchemia kolorów
Grafika pokoleń
Abstrakcja w kadrze

■ Premiery teatralne 6-7

Zanim wykipi zupa
Tożsamość miejsca

■ Nowa przestrzeń dla kultury 8-9

Biblioteka marzeń

■ Wydarzenie miesiąca 10

Miłość jak światło

■ Repertuar na luty 10-30

Programy instytucji kultury

■ Rok Heleny Grossówny 31

Tu byłam. Helenka

■ Rozmowa miesiąca 32-36

Miejsca i ludzie – wywiad z Jackiem Dehnelem

■ Diagnoza dla miasta 37

Jaka kultura?

■ Sztuka blisko ludzi 38

PoRUSZają

■ Kulturalny styczeń w obiektywie 39

Fotograficzny przegląd wydarzeń

■ Księgarnia Kafka i Spółka poleca 40

Motyw zawsze się znajdzie

Alchemia kolorów

■ Jego prace zdobią budynki w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu, Tel Awiwie i... Toruniu. Emaliowane panele jego autorstwa na Auli Uniwersytetu Mikołaja Kopernika jest najbardziej charakterystycznym elementem architektury uczelni. 20 lutego w Centrum Sztuki Współczesnej otwarta zostanie przekrojowa wystawa prac Stefana Knappa.

Ekspozycja jest elementem wieńczącym rok jubileuszu 80-lecia UMK. Stefan Knapp swoje dzieło dla Torunia zrealizował w 1973 r., z okazji 500. rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Składa się ono z 255 kwadratowych elementów. Oprócz zegara słonecznego z popiersiem astronoma, widnieje na nim niezwykle barwny układ ciał niebieskich. Niedawno paneau zostało poddane gruntownej renowacji.

Z Biłgoraja w świat

Niezwykła, innowacyjna sztuka urodzonego w Biłgoraju w 1921 r. Stefana Knappa (drugą literę „p” do nazwiska dodał już na emigracji) zyskała sławę na całym świecie. Paradoksalnie w Polsce jest stosunkowo mało znana. Równie ciekawy co twórczość jest życiorys artysty. Po latach spędzonych w Biłgoraju rodzina Knapów przeniosła się do Lwowa i tam zastała ich II wojna światowa. Podczas przekraczania linii demarkacyjnej z terenami okupowanymi przez wojska niemieckie w 1940 r., Knapp został aresztowany i choć udało mu się uciec, jeszcze w tym samym roku, w wyniku ulicznej łapanki we Lwowie, ponownie trafił do więzienia i został wywieziony do sowieckiego łagru, gdzie w potwornych warunkach pracował do lata 1941 r. Zwolniony na mocy układu Sikorski-Majski odzyskał

wolność i dzięki napotkanemu przypadkiem oficerowi, dołączył do Armii Andersa. Następnie zgłosił się do RAF-u i wraz z oddziałem trafił do Wielkiej Brytanii. *Latanie nauczyło mnie jeszcze jednej rzeczy. Granice są fikcją. Z wysokości 40 tysięcy stóp świat stanowi jedną całość. [...] Jakże to głupie i małostkowe próbować rozbić okrusz granitu, nakreślić linię na wartkim nurcie rzeki, uchwycić w garść jeden promień słońca i wołać – to mój!* – wspominał Knapp w autobiografii „Kwadratowe słońce” (cyt. za tekstem Mai Toczzonej-Wal na stefanknapp.com). Po wojnie pozostał na emigracji. Ukończył prestiżową Slade School of Fine Art w Londynie i zrobił oszałamiającą karierę w Wielkiej Brytanii i USA. Zmarł w 1996 r. w Sandhills.

Pęknięta broszka

Twórczość towarzyszyła Knappowi od pierwszych lat życia. Jako chłopiec konstruował w mikroskali młyny wodne, zatem motyw koła, znany z toruńskiej realizacji, fascynował go od początku. Artystyczne działania podejmował nawet podczas zsytki, tworząc guziki, figury szachowe i inne przedmioty z masy z chleba i śliny, które barwił sadzą, wapnem, cebulą, a nawet krwią. W wojsku wstąpił się rysowaniem portretów towarzyszy broni oraz nagich kobiet. Traumatyczne doświadczenia wojenne odzwierciedlił w serii obrazów charakteryzujących się intensywnymi kolorami i mocnymi liniami, które wystawiono w 1947 r. w Jabe Gallery w Londynie. Uzyskanie pieniędzy ze sprzedaży patentów umożliwiło Knappowi w latach 50. wielomiesięczne prace nad opracowaniem najważniejszych kierunków twórczości. *Odnajdywanie wewnętrznych znaczeń obiektów wywodzących się z natury stało się podstawowym punktem wyjścia dla jego sztuki. Prace powstałe w tym czasie zdają się przedstawiać świat nie odтворzony, a zrekonstruowany i zsyntetyzowany przez artystę na podstawie jego wewnętrznego „manifestu”* – pisze Maja Toczona-Wal.



Stefan Knapp przy pracy nad toruńskim paneau

O tym, co w jego twórczości najbardziej charakterystyczne, czyli praca z emalią, zdecydował przypadek: upuszczona broszka dziewczyny, z którą umówił się na randkę. Ozdobę udało mu się tak naprawić, że nikt by się nie domyślił, iż uległa zniszczeniu. Efekty eksperymentów z emalią w postaci obrazów i rzeźb artysta pokazał po raz pierwszy w Pierre Matisse Gallery w Nowym Jorku w 1957 r. Ale Knappowi zależało przede wszystkim na tym, by jego sztuka była dostępna dla każdego. Dlatego właśnie jego prace pojawiały się na budynkach użyteczności publicznej, m.in. dekorując Heathrow, Seagram Building w Nowym Jorku, Unilever Building w Hamburgu, Shell Building w Londynie i C.I.N. Building w Paryżu. Monumentalne dzieła, oprócz toruńskiego, można podziwiać na uniwersytetach w Europie i obu Amerykach. Największy (60 m długości i 15 m wysokości) i najbardziej znany mural Knappa widniał na ścianie nieistniejącego już centrum handlowego sieci Alexanders w Paramus (New Jersey). Dzieło zdjęto na początku lat 90. i umieszczono w magazynie.

– *Od niedawna wybrane panele z tego muralu znowu cieszą oczy widzów w Paramus – przy wejściu do tamtejszego nowo wybudowanego szpitala oraz wewnątrz budynku* – informuje kuratorka toruńskiej wystawy Kasia Moskała.

W Polsce Knapp wykonał również mural dla planetarium w Olsztynie oraz aranżację stacji stołecznego metra: Pole Mokotowskie i Wilanowska.

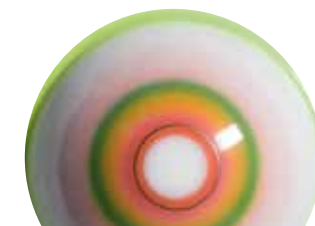
Ponad 100 dzieł

Pierwsza w Polsce wystawa Knappa miała miejsce w Galerii ZPAP w Warszawie w 1962 r. W 1974 r. jego 73 dzieła zaprezentowano w Zachęcie. W 2021 r., z okazji 100. rocznicy urodzin, prace Knappa pokazało Muzeum Ziemi Biłgorajskiej. W Toruniu zobaczymy ponad sto prac artysty, pochodzących z różnych etapów jego twórczości. Będą to obrazy na płótnie, tusze na papierze, gobelin, emalie na stalowych płytach, rzeźby oraz lampy. Wystawa jest też okazją do wznowienia autobiografii „Kwadratowe słońce” oraz wydania monografii poświęconej temu niezwykłemu artyście.

Różnorodna twórczość Knappa wymyka się klasyfikacjom – artysta tworzył często na pograniczu wielu nowoczesnych nurtów i nie identyfikował się z żadnym konkretnym środowiskiem artystycznym. Krytycy sztuki na wyspach pisali, że podarował malarstwo architekturze, ponieważ opanował do perfekcji technikę wielkoformatowej emalii – pisze Kasia Moskała.

Ekspozycję „Stefan Knapp. Alchemik i wizjoner” można oglądać w toruńskim CSW do 31 maja.

(mak)



Grafika pokoleń

■ **Choć obchody jubileuszu 80-lecia Uniwersytetu Mikołaja Kopernika już za nami, świętowanie rozpoczynają jednostki, które powołane zostały nieco później. Osiem dekad istnienia podsumuje 20 lutego Katedra Grafiki Wydziału Sztuk Pięknych.**

Od grudnia 1945 r. tworzony był w Toruniu Wydział Sztuk Pięknych, zaś Katedrę Grafiki powołano do życia w maju 1946 r. Podobnie jak w przypadku całego uniwersytetu, jej założycielami byli pedagodzy i znakomici artyści, którzy przybyli do naszego miasta z Wilna: Jerzy Hoppen, Edward Kuczyński i Koźma Czuryło. Przez lata zmieniały się siedziby zakładu. Na początku mieścił się on w Collegium Marius, potem w willi Ossowskich przy ul. Moniuszki 10, by wreszcie na stałe zakotwiczyć w okazałym gmachu przy ul. Sienkiewicza 30/32. W ciągu ośmiu dekad studenci mogli szlifować swoje talenty pod okiem znakomitych artystów. Zarówno dydaktycy, jak i ich uczniowie zdobywali liczne nagrody, a toruńska szkoła graficzna zyskała uznanie w kraju i za granicą. Dziś na Katedrę składa się pięć Pracowni: Wypukłodruku, Wklęsłodruku, Litografii, Serigrafii i Grafiki Multimedialnej. Studenci mogą tu nie tylko doskonalić swój warsztat, ale również, wraz z wykładowcami, prezentować prace w przestrzeni wystawienniczej. Zgłębiają wiedzę zarówno o tradycyjnych technikach, jak i eksperymentują z nowymi technologiami.

Obchody jubileuszu zapoczątkowane zostaną 20 lutego trzema wydarzeniami. O godz. 9.30 w Dworze Artusa, odbędzie się międzynarodowa sesja naukowa „Grafika wobec tradycji i współczesnych wyzwań”, na którą złożą się dwa bloki tematyczne. Pierwszy z nich dotyczy będzie historii i aktualnej praktyki oraz dydaktyki graficznej



Zespół Katedry Grafiki WSP UMK

na toruńskiej uczelni. Drugi obejmować będzie zagadnienia poświęcone teorii graficznego medium oraz analizie jego aktualnej kondycji i możliwych kierunków jego dalszego rozwoju – informuje dr Sebastian Dudzik z Katedry Grafiki.

Również w Dworze Artusa zobaczyć będzie można wystawę prac najzdolniejszych absolwentów wydziału z ostatniej dekady. Widz będzie mógł się zapoznać z najnowszymi, najświeższymi trendami w toruńskiej grafice artystycznej, a także przekonać się, w jaki sposób najmłodsze pokolenie twórców komunikuje światu ważne dla siebie tematy, problemy i fascynacje – podkreśla dr Dudzik. Wernisaż zaplanowano na godz. 19.00.



Kulminacją dnia będzie jednak wcześniej wystawa „Osiemdziesiąt lat grafiki akademickiej w Toruniu”, która zostanie otwarta o godz. 17.00 w Galerii Sztuki Wozownia. Zobaczymy na niej prace prawie czterdzieścioro twórców związanych z katedrą jubilatką. Będą to zarówno prace pionierów toruńskiej grafiki, jak i ich kontynuatorów po chwilę obecną. Kolejne pokolenia konsekwentnie budowały rozpoznawalną w kraju i za granicą markę toruńskiej szkoły graficznej. Jej siła opierała się w dużej mierze na otwartości wobec różnorodnych zmian zachodzących w sztuce, odważnemu czerpaniu doświadczeń z innych mediów (np. z malarstwa, rzeźby, kolażu), a przede wszystkim na umiejętnym balansowaniu między tradycją i nowatorstwem – pisze dr Sebastian Dudzik.

Te główne prezentacje uzupełnione są o wystawy towarzyszące. W Galerii Katedry Grafiki przy ul. Sienkiewicza oglądać można ekspozycję „Powrót do przeszłości – z archiwum Katedry/Zakładu Grafiki WSzP UMK”, prezentującą dyplomy realizowane w przed rokiem 2000. W klubokawiarni PERS prezentowane są z kolei prace obecnych studentek i studentów na wystawie „Toruńska Katedra Grafiki – 5 pracowni”. (mak)

Abstrakcja w kadrze

Oglądającym okładkę lutowego numeru „Ikara” trudno zapewne dociec, czy to, co widzą, jest grafiką czy zdjęciem. Autorką pracy jest Anna Bulla-Dembek, której wystawę „Faktura koloru” można do kwietnia oglądać w nowym miejscu – Ergotece przy ul. Kniaziewicza 125A.

Artystka pochodzi z Bydgoszczy, gdzie ukończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, a następnie studiowała grafikę warsztatową oraz projektowanie graficzne na toruńskim Wydziale Sztuk Pięknych UMK. Zajmuje się projektowaniem graficznym, grafiką oraz fotografią i te dziedziny w jej twórczości wzajemnie się przenikają.

Cechą charakterystyczną pokazanych na wystawie zdjęć jest takie kadrowanie, które często nie pozwala dociec, co tak naprawdę zostało sfotografowane. Prace działają przede wszystkim kolorem i fakturą. Choć pokazują coś, co realnie istnieje, mogą zostać uznane za abstrakcję. W ten sposób artystka nie tylko dokumentuje, ale także interpretuje rzeczywistość, dzięki czemu i my możemy spojrzeć na nią nieco inaczej.

Staram się ukazać piękno prostoty i niedoskonałości otaczającego nas świata, które zauważam w przedmiotach zniszczonych i często bardzo zwyczajnych, jak etui do okularów, spalony kosz na śmieci, próg w kamienicy, słupki na ulicy czy zardzewiałe powierzchnie. Nawiązuję tym do japońskiej filozofii wabi sabi i zachęcam do głębszego spojrzenia na codzienność, wydobywając niezwykłość z tego, co zazwyczaj pozostaje niezauważone – pisze o swoich pracach Anna Bulla-Dembek. (mak)



Zanim wykipi zupa



Fot. Marta Wudarska

Zdjęcie z próby

fenomenem telewizyjnych show o gotowaniu. Motywów spektaklowi dostarczył także dramat Arnolda Weskera „The Kitchen”. Wszystko po to, by w mikroskali opowiedzieć o globalnych problemach.

– W kuchni mamy relacje władzy, problemy etniczne, bo pracownikami gastronomii są często migranci – opowiada **Piotr Ratajczak**. – Dochodzi tam też do głosu dyskurs kapitalistyczny: chęć robienia kariery, bycia najlepszym, sięgania po świętego Graala wszystkich zajmujących się gotowaniem, czyli gwiazdkę Michelin. Wydaje mi się więc, że poprzez relacje pracowników wewnątrz kuchni mamy szansę opowiedzieć o różnych społecznych napięciach.

Wśród bohaterów spektaklu mamy ambitną właścicielkę restauracji, menadżera narzucającego korporacyjny dryl oraz pracowników – przedstawicieli różnych generacji, ludzi o odmiennych poglądach, co oczywiście rodzi podziały. Jak to jednak w każdej społeczności bywa, pojawiają się też w teatralnej kuchni wątki romantyczne.

By stworzenie iluzji gastronomicznego świata na scenie było jak najbliższe rzeczywistości, toruńscy aktorzy szkolili się pod okiem szefa kuchni jednej z lokalnych restauracji. Podczas spektaklu tworzyć będą prawdziwe dania. W menu m.in. zupa cebulowa, sznycle i sałatka cesar. Zatem to, co trafi do garnków, a potem na talerze, a także to, co dzieć się będzie między bohaterami, zaowocować powinno niezwykle mieszkanką wrażeń.

– Spełnieniem moich marzeń byłoby, gdyby ten spektakl był komedią, ale taką, która stopniowo nabiera wagi, napięcia i kończy się niepokojącą diagnozą: o wspólnocie, której nie ma, o świecie pełnym napięć. Chciałbym, żeby nasze przedstawienie pokazało, że świat jest jak bulgocząca zupa w garnku: jeśli przesadzimy trochę z ogniem, wszystko może się wysadzić się w powietrze – podkreśla **Piotr Ratajczak**. (młk)

■ **Ten spektakl można nie tylko oglądać, słuchać go, ale także... wachać. Będzie się w nim kroić, gotować, doprawiać, dzwierać sztucami i talerzami. Reżyser „Na ostrzu noża” Piotr Ratajczak, dyrektor artystyczny Teatru im. Wilama Horzycy, dużą scenę zamieni w restauracyjną kuchnię. Premiera 28 lutego.**

Inspiracji do stworzenia przez Joannę Kowalską tekstu dramatu było sporo. Początkowo twórcy rozmawiali o powieści i filmie „Zakłętą rewiry”. Później przywołano obraz „Apetyt na więcej. La Cucina” oraz serial „The Bear”, by wreszcie zastanowić się nad popkulturowym

Tożsamość miejsca

■ **O ludziach, którzy tworzyli historię budynku przy ul. Bydgoskiej 50/52 opowiada spektakl „Dom, w którym...” w reżyserii Pawła Paszty. Premierę zaplanowano na 14 lutego.**

Ten okazały budynek powstał w 1899 r. jako dom niemieckiego przedsiębiorcy budowlanego Konrada Schwartza. Połowę stanowiło mieszkanie właściciela, druga zaś połowa była wynajmowana. W okresie międzywojennym działała tu restauracja. Po wojnie Schwartz opuścił Toruń, a następnie został wywłaszczony. W budynku zlokalizowano posterunek milicji, następnie dom studencki i mieszkania lokatorskie. Wreszcie gmach opustoszał i przez wiele lat niszczał. Ponad rok temu zakończyła się jego gruntowna renowacja i jego uroda znów cieszy oczy. Obecnie siedzibę ma tu Kulturalny Hub Bydgoskiego Przedmieścia oraz Zakład Aktywności Zawodowej, który od niedawna prowadzi także kawiarenkę.

Inicjatorką stworzenia widowiska o ludziach i miejscu jest pracownica Hubu Joanna Żmijewska. Zanim powstał scenariusz, twórcy spotykali się z żyjącymi dawnymi lokatorami gmachu oraz poszukiwali informacji w archiwach o tych już nieżyjących.

– Będziemy próbowali wcielić się w postacie, które tu żyły – opowiada **Paweł Paszta**. – Oczywiście to jest takie szkicowe budowanie między fikcją a domniemaną prawdą. Najbardziej jednak chciałbym opowiedzieć, poprzez różnorodne historie mieszkańców tego budynku, o przemianach miasta, o jego tożsamości.

Spektakl będzie więc okazją m.in. do poruszenia tematu współistnienia w Toruniu społeczności polskiej i niemieckiej, do pokazania

rzeczywistości powojennej i zmian społecznych związanych z wprowadzeniem systemu komunistycznego, a potem jego upadku.

– Ten budynek jest świadkiem przemian i przypomina nam, że w jakimś sensie te wszystkie przemiany składają się też na naszą tożsamość – dodaje reżyser.

Przedstawienie zaprezentowane zostanie oczywiście w budynku przy ul. Bydgoskiej 50-52, a publiczność przemieszczać się będzie po nim wraz z bohaterami. Ponieważ spektakl przeznaczony jest dla niewielkiej grupy widzów, w walentynki będzie on powtarzany aż pięciokrotnie. Istnieje też możliwość śledzenia go online.

– Ten dom jest wyjątkowy na mapie miasta. Zauważa się go. No i przeszedł metamorfozę, właściwie został wskrzeszony z martwych. To daje nadzieję i staje się symbolem: coś, co wiele lat straszło, upadało, nagle jest i żyje – podkreśla **Paweł Paszta**. (młk)



Fot. Agnieszka Bielecka

Biblioteka marzeń

■ **Ponad dwa lata trwała rozbudowa gmachu Książnicy Kopernikańskiej przy ul. Słowackiego. 27 lutego nowe skrzydło oficjalnie zostanie otwarte dla użytkowników, a czytelnicy zyskają nowoczesną, wielofunkcyjną przestrzeń, która zaprasza do spędzania w niej czasu na wiele sposobów.**

Biblioteki od lat nie pełnią już jedynie funkcji wypożyczalni książek. To dziś centra kultury, organizujące różnorodne wydarzenia, sprzyjające samodzielnej i zespołowej pracy, pozwalające rozwijać zainteresowania, a czasem zrelaksować się w ciszy. Te wszystkie możliwości Książnica oferuje od lat, jednak teraz będzie miała do tego odpowiednią infrastrukturę. Nowy, czterokondygnacyjny budynek powstał w miejscu dawnej czytelnicy.

– *To spełnienie marzeń bibliotekarzy* – mówi dyrektorka Książnicy Kopernikańskiej **Danetta Ryszkowska-Mirowska**. – *Wcześniej, mimo chęci, nie mogliśmy rozszerzać naszej oferty edukacyjno-kulturalnej, bo zwyczajnie nie mieliśmy gdzie. Nie było tu sali konferencyjnej, a wszystkie wydarzenia, łącznie z Festiwalem Gwiazdozbiór Kryminalny, odbywały się w holach.*

Do spotkań i prezentacji

Teraz, na najniższym poziomie nowego skrzydła, powstała profesjonalna sala, wyposażona w sprzęt multimedialny, z mobilną widownią. Dzięki ruchomej ścianie, w zależności od charakteru wydarzenia, przestrzeń można podzielić na dwie mniejsze. To tu odbiorcy zapraszani będą m.in. na spotkania autorskie i wykłady, które wcześniej odbywały się w holu. Tuż obok zlokalizowano tzw.

magazyn studyjny – nowoczesną przestrzeń, gdzie w bezpiecznych warunkach mogą być prezentowane cenne zasoby biblioteki, w tym starodruki – zarówno oryginały, jak i ich zdigitalizowane wersje.

– *Pomysł dotyczący tego magazynu zrodził się w naszych głowach podczas obrony Kodeksu Korwina* – podkreśla dyrektorka placówki. – *To zdarzenie uświadomiło nam, jak ważna jest popularyzacja wiedzy o zbiorach Książnicy. Myślę, że jeżeli będziemy dużo o nich mówić, prezentować je, organizować spotkania, taka sytuacja już nigdy się nie wydarzy.*

Przypomnijmy, że w 2022 r. w Sejmie złożono poselski projekt ustawy umożliwiającej wywłaszczenie Książnicy Kopernikańskiej z cennego manuskryptu. Miał on być darowany Węgrom w rewanżu za przekazaną wcześniej Polsce zbroję Zygmunta II Augusta. Wzbudziło to ogromne oburzenie społeczne i w wyniku protestów odstąpiono od pomysłu.

Wróćmy jednak do nowego budynku. Z dolnego poziomu można też wyjść na patio, gdzie w ciepłe miesiące będzie można korzystać z dobrodziejstw biblioteki na świeżym powietrzu oraz wziąć udział w plenerowych wydarzeniach.

Multimedialne przestrzenie

Wchodząc wyżej, znajdziemy się w nowoczesnej przestrzeni multimedialnej. Ustawiono tam regały z wolnym dostępem do książek. Na tym poziomie do dyspozycji będą też m.in. audiobooki i muzyka. Nagrań posłuchamy na miejscu, siedząc wygodnie na specjalnych dźwiękochłonnych fotelach. Atrakcją tego miejsca będą również przestrzenie interaktywne.

– *Znajdzie się tu ekran sferyczny pokazujący globus nieba i Ziemi oraz kolejny w kształcie książki, w której będzie można przeglądać*



zdigitalizowane zbiory – opowiada Danetta Ryszkowska-Mirowska. – *Niektóre elementy będą ożywione za pomocą sztucznej inteligencji. Najbardziej dumni jesteśmy z pokoju VR z interaktywną podłogą i ścianami, gdzie będziemy prezentować nasze i nie tylko nasze zbiory. W ramach ścieżki edukacyjnej będzie można poznać historię Książnicy, odtworzona zostanie również Biblioteka Gimnazjum Akademickiego.*

Do pracy i wypoczynku

Na kolejnych poziomach znajdują się przestrzenie coworkingowe. Zaprojektowano je tak, by służyły do pracy i wypoczynku, sprzyjały tworzeniu projektów w grupie lub przeciwnie – odizolowaniu się i np. skupieniu na nauce. Ustawiono tam specjalne kapsuły dźwiękoszczelne, w których można zarówno odciąć się od hałasu z zewnątrz, jak i samemu nie być słyszany. Na otwartej przestrzeni mogą z kolei odbywać się warsztaty albo kameralne spotkania. Nie mogło również zabraknąć miejsca dla miłośników gier planszowych. Przy specjalnie zaprojektowanych stołach będzie można usiąść do rozgrywek z rodziną i znajomymi, a jeśli ktoś woli, wypożyczyć gry do domu.

Budynek zachęca jednak do pozostania w nim na dłużej. Przeszkłona konstrukcja powoduje, że do środka, nawet w pochmurny dzień wpada mnóstwo światła.

– *Chcieliśmy stworzyć przestrzeń nowoczesną, jasną i zapraszającą, gdzie nasi goście będą chętnie pracować, uczyć się, spotykać z innymi ludźmi oraz uczestniczyć w różnego rodzaju wydarzeniach. I oczywiście wypożyczać książki* – podkreśla dyrektorka Książnicy.

Inwestycja kosztowała ponad 36 mln zł, z czego prawie 22 mln pochodzi z dofinansowania z unijnego programu FEnIKS. Z okazji otwarcia nowego budynku Książnica otrzyma w prezencie od miasta dwa cenne starodruki: wydane w 1619 r. dzieło astronomiczne gdańskiego matematyka i astronoma Petera Crügera oraz wydaną w Bazylei w 1535 r. mitologiczną pracę rzymskiego pisarza i mitografa Hyginusa. **(mnh)**

Miłość jak światło

■ **Nie mamy wątpliwości, że Torunianie kochają swoje miasto, a walentynki to świetna okazja, by to wyrazić i przy okazji mieć dobrą zabawę. Do udziału w niej zaproszeni są także wszyscy mieszkańcy Metropolii Toruńskiej.**

Świętowanie przygotowane przez Lokalną Organizację Turystyczną Metropolii Toruńskiej potrwa od 12 do 15 lutego, a jego centrum zlokalizowano na Rynku Staromiejskim. Największa atrakcja to „Love is in the Square” – walentynkowa iluminacja połączona z oprawą muzyczną. Codziennie w godz. 17.00-22.00 budynki rozbłysną wielkimi, ruchomymi, świetlnymi obrazami, przygotowanymi przez węgierską grupę Lightspray Visual. Spacer w takiej scenerii z pewnością nastroi romantycznie. Dodatkowo 14 lutego, w dniu świętego Walentego, będzie można uwiecznić swoje wizerunki na tle iluminacji. W specjalnym foto spocie chętni wykonają profesjonalne zdjęcie, które potem mogą bezpłatnie pobrać ze strony internetowej. Kto woli bardziej tradycyjne formy okazywania serca, dzięki Poczcie Polskiej może wysłać specjalnie zaprojektowaną kartkę. Do skorzystania z tych atrakcji zachęcać będą szczudlarze z grupy Mosaic Events, w kostiumach nawiązujących do charakteru święta. Nie zabraknie również konkursów z nagrodami od lokalnych przedsiębiorców, a dla zziębniętych restauratorzy przygotują ciepłe napoje. Dobrymi duchami wydarzenia będą Oliwia i Artur z Radia Gra, którzy poprowadzą walentynkową imprezę.

Ale Toruń rozgrzewa serca nie tylko po zmroku. 14 i 15 lutego o godz. 12.00 toruński przewodnik Paweł Bukowski proponuje wycieczkę „W poszukiwaniu toruńskich symboli miłości”. Spod pomnika Kopernika uczestnicy przejdą m.in. do gotyckich kościołów i na Bulwar Filadelfijski, zaś na koniec dotrą pod Krzywą Wieżę, gdzie można

oglądać wystawę prac Joana Miró. Tu również nie zabraknie ciepłej herbaty.

Warto przypomnieć, że 14 lutego to szczególna okazja do świętowania w pobliskim Chełmnie, które dzięki relikwii Świętego Walentego nazywane jest miastem zakochanych. Walentynki Chełmińskie odbędą się już po raz dwudziesty piąty. **(mnik)**



Tu byłam. Helenka

■ **W grudniu władze województwa ogłosiły rok 2026 Rokiem Ludzi Filmu z Kujaw i Pomorza, natomiast Rada Miasta Torunia podobnie wyróżniła jedną osobę z tego grona – Helenę Grossównę, tancerkę i aktorkę, która trwale zapisała się w historii polskiego kina. Pamięć o niej wciąż żyje w kilku toruńskich miejscach.**

Jadąc ulicą Kościuszki od strony Rubinkowa, zaraz za wiaduktem można odbić w prawo, w stronę dawnych Młynów Richtera, na niewielkie rondo, nazywane od dekady Rondem Heleny Grossówny. Na jego miejscu mieszkała niegdyś rodzina Grossów, w tym urodzona 24 listopada 1904 r. Helena, córka rzeźnika o niemieckich korzeniach Leonarda Grossa oraz Walerii Winiarskiej. Bryłę ich domu przy ul. Lipowej 71 (obecnie Kościuszki) znamy już tylko z archiwalnych źródeł, został on bowiem zburzony w ramach przebudowy ulicy w latach 70. XX w. W dobrym stanie jest za to ceglany gmach przy ul. Łąkowej 13, mieszczący Szkołę Podstawową nr 6. To tu Helena, wkrótce oficjalna patronka placówki, rozpoczęła edukację, lawirując między swoją polską duszą i obowiązującym w szkole niemieckim rygorem. I to tu miała tańczyć na stole, poza oczami nauczycieli, odkrywając w sobie pasję, która zaprowadziła ją w przyszłości na sceny i ekrany. Nie wiedziała wówczas, że lata później, w kostiumie uczennicy, znów zatańczy na stole – ale już jako gwiazda srebrnego ekranu odtwarzająca rolę... Helenki w kultowym filmie *Zapomniana melodia* (1938).

Nim jednak zaczęła realizować marzenia, musiała sprostać prozie życia. W 1911 r. zmarł jej ojciec i zarazem główny żywiciel rodziny. By wspomóc owdowiałą matkę, Helena, jeszcze jako uczennica gimnazjum, zatrudniła się w domu towarowym A. Abrahama, a następnie



Helena Grossówna (z prawej) jako Helenka w filmie *Zapomniana melodia* (1938)

S. Kałamajskiego przy ul. Szerokiej 21 (dziś mieści się tam lokal popularnej sieci fast food). Praca w dziale męskim nie tylko podreperowała nieco rodzinny budżet, ale też przyniosła zwrot, który miał zaważyć na losach młodej ekspedientki...

Ze sklepu i szkół nastolatka wracała do domu już pod inny adres. Pozbawiona wsparcia męża, Waleria była zmuszona przenieść się wraz z dziećmi na ul. Wodną 30 (obecnie PCK), na piętro budynku wzniesionego w powszechnej wówczas na Mokrem technologii tzw. pruskiego muru. Z rogu ulic PCK i Głowackiego kilka lat temu zniknął charakterystyczny szkieletowy dom z drewna i czerwonej cegły, zastąpiony grodzonym parkingiem. Historia tego obiektu jest zarazem smutna i budująca, bo choć musiał zostać odłączony od historycznej tkanki, to cegła po cegle odrodził się w bezpiecznych objęciach muru okalającego toruńską starówkę. Ale o tym innym razem.

Maria Iwaniszewska
Kujawsko-Pomorskie Centrum Dziedzictwa w Toruniu

Miejsca i ludzie

■ Rozmowa ze znakomitym prozaikiem, poetą i tłumaczem JACKIEM DEHNELEM, który w ubiegłym roku został laureatem Nagrody Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. Samuela Bogumiła Lindego.

■ Jesienią ubiegłego roku odebrał Pan Nagrodę im. Lindego, autora monumentalnego Słownika języka polskiego i dlatego od słów chciałabym zacząć. Co Pana ukształtowało jako człowieka słowa?

■ Rodzina i czytanie. Rodzina, bo u nas rozmawiało się z dziećmi, i to na różne poważne i skomplikowane tematy. A czytanie, bo książki weszły bardzo wcześnie – najpierw, oczywiście, książeczki dla dzieci, ale potem dość wcześnie poważna literatura dla dorosłych, po prostu była wszędzie w domu. I u dziadków, i u nas, więc w naturalny sposób po nią sięgałem. Język, którym mówię, powstał gdzieś na zetknięciu tych dwóch światów: polszczyzny bliskiej, rodzinnej, z różnymi naleciałościami – głównie, myślę, kresowymi – ale w sumie po prostu inteligentkiej, oraz tej polszczyzny literackiej, różnorodnej, bo tu wchodzi przecież nie tylko dzieła literatury polskiej, ale też przekłady.

■ W swoim przemówieniu po odebraniu nagrody mówił Pan, że słownik Lindego ukochał Pan szczególnie. Co jest w nim dla Pana tak istotnego?

■ To jest polszczyzna niesamowita, trzysta lat – z naszego punktu widzenia – archeologii języka, cytaty z dawno zapomnianych autorów. Słowa, które gdzieś się pojawiły jako neologizmy, jako potencjalne pomysły, ale często nie zostały nigdzie podchwyczone, a Linde je zanotował i utrwalił. Więcej: miał świadomość, że tworzy tekst nie tylko zapisujący uzus,

to jak się pisze i pisało, ale też normotwórczy, więc zastanawiał się nad formami potencjalnymi, na przykład takimi feminatywami, które funkcjonowały już w niemieckim, ale nie znalazł ich jeszcze w polszczyźnie. Ileż tam jest humoru! Jest to wspaniały hołd dla plastyczności słowotwórczej języka polskiego. Chłoposzkapiec, czyli centaur, międzydupie, chłopodur, niedolisek – to przykłady z tamtego przemówienia, ale wystarczy przekartkować Lindego i zaraz się znajdzie kolejne cuda.

■ Zaczynał Pan od poezji (która zresztą do teraz przeplata się z prozą w Pana twórczości) i tu pojawia się kolejny Pana związek z Toruniem – Konkurs Poetycki „O liść konwalii”. Najpierw został Pan laureatem tego konkursu, a teraz jest jego jurorem. Pamięta Pan wiersze, które wysłał na ten konkurs, emocje z nim związane?

■ A czy Pani pamięta załączniki do maili, które wysłała Pani ćwierć wieku temu? (Śmiech) Nie, oczywiście, że nie; ja w ogóle słabo pamiętam poszczególne konkursy z tamtych czasów, bo po prostu było ich bardzo dużo. Dużo pisałem, dużo wysyłałem i dużo wygrywałem, byłem nastolatkiem, potem dwudziestoparolatkiem przed debiutem, potem po debiucie. Wszystko to się skończyło, kiedy dostałem Nagrodę Kościelskich, i uznałem, że po prostu już mi nie wypada brać udziału w konkursach.

Natomiast żywię ogromną wdzięczność dla wszystkich tych organizatorów i jurorów, bo dla kogoś takiego jak ja, spoza wszelkich literackich, klubów, środowisk, czasopism, kompletnie luźnego elektronu, to była właściwie jedyna ścieżka do debiutu, jaką widziałem. Tak długo pokazywać się na konkursach, aż ktoś mnie zauważy – albo dostać nagrodę w jednym z tych nielicznych, które publikowały zwyczajną książkę.

Mówię o sobie, ale jestem pewien, że taką rolę odegrały konkursy literackie – w tym ten toruński – dla kilku pokoleń młodych poetów i poetek w Polsce. I to jest nie do przecenienia. Nie te almanachy



pokonkursowe, nie te gale, nie te nagrody finansowe nawet – choć dla mnie, i dla wielu innych, były one nie tylko potwierdzeniem realnej wartości tego, co robimy, ale też źródłem kasy na kupowanie książek, podróże, wszystko to, z czego się robi wiersze – ale poczucie istotności. Że wchodzimy z tymi naszymi skrobakami niewprawnie tekstami w jakiś poważniejszy obieg.

■ Co dla Pana – jurora jest największą trudnością w ocenie zestawów wierszy, które przychodzą na konkurs?

■ Wyjście ze swojego gustu i zarazem pozostanie w nim. To znaczy, trzeba z jednej strony kierować się tym, co myślimy w głębi ducha o literaturze, a z drugiej – korygować to o jakąś wiedzę zewnętrzną. Mogę osobiście bardzo nie lubić jakiejś poetyki, ale powinienem docenić, jeśli ktoś w biegły sposób się nią posługuje. Na szczęście jury podejmuje swoje decyzje kolegialnie i dobrze dobrani jurorzy, mający różne perspektywy i gusta, dokonują tych korekt wzajemnie, z pożytkiem dla całego procesu i ostatecznego rezultatu.

■ Wkrótce po sukcesie na konkursie w Toruniu wydał Pan swój debiutancki tom poezji, który pochwalił sam Czesław Miłosz. Jakie to miało znaczenie dla młodego twórcy?

■ Hm, Miłosz najpierw pochwalił, a potem z tą pochwałą dwa lata chodziłem po wydawcach, aż się udało książkę opublikować. W sumie trwało to tak długo, że zdążyłem już napisać drugi tomik i ostatecznie, za pozwoleniem Miłosza, przenieśliśmy blurba z jednej książki na drugą. Więc chciałbym powiedzieć, że miało to wielkie znaczenie – ale społecznie nie miało, choć może jakoś wpłynęło na zainteresowanie jury Nagrody Kościelskich, ale tego nie wiem.

Natomiast, rzecz jasna, miało znaczenie osobiste, to znaczy twórca, którego ogromnie ceniłem, najwyżej z żyjących wówczas polskich poetów, napisał, że to dobre teksty, po prostu. I nazwał mnie poetą – a ja nigdy nie pisałem w ten sposób o sobie; nie nazywałem się malarzem ani poetą, ani pisarzem. W notkach biograficznych po prostu podawałem, że piszę wiersze

i maluję, to zupełnie co innego. Ale jak już Miłosz napisał, że jestem poetą, to pomyślałem, że i mnie wolno tak siebie nazywać.

■ Część Pana książek, w tym słynna „Lala” i monumentalne „Łabędzie”, nawiązuje do Pańskich historii rodzinnych. Jak wyglądało zbieranie materiału do tych książek i co najciekawszego o swoich przodkach udało się Panu odkryć? A może było odwrotnie – odkrycie przyczyniło się do powstania książki?

■ To zupełnie inne teksty, napisane w zupełnie innych okresach życia. „Lalę” pisałem jako dwudziesto-, dwudziestodwulatek, po pierwsze dlatego, że opowieści babci i rodzinna historia były moim podstawowym rezerwuarem pamięci. Wielu pisarzy tak debiutuje lub pisze swoją pierwszą ważną książkę, w tym wielu spośród największych: Mann i „Buddenbrokowie”, Schulz i „Sklepy cynamonowe”, Garcia Marquez i „Sto lat samotności”. Po prostu tym młody człowiek dysponuje: bardziej pamięcią rodzinną, którą przefiltrowuje przez swoją wrażliwość, niż własnymi doświadczeniami.

I tu niczego nie musiałem zbierać, historie babci znałem na pamięć, choć oczywiście z czasem powieść dopełniła się o rejestrację choroby i odchodzenia, tam są po prostu kawałki mojego ówczesnego dziennika, notatki z rozmów, sceny z bieżącego życia.

Natomiast w przypadku „Łabędzi” to była świadoma decyzja, że napiszę o mojej dalszej rodzinie – powinowatych, nie krewnych – która miała fascynującą historię. I tu była bardzo różnorodna kwerenda: wielogodzinne wywiady z wujami i ciotkami, a także zupełnie obcymi ludźmi; szukanie w najrozmaitszych źródłach, czy to chodzi o dzieje loterii w Królestwie Polskim, czy historię porcelany. A wreszcie wiele miesięcy spędzonych w archiwach IPN na przeglądaniu i przefotografowywaniu dwustu tomów akt sprawy kryminalnej z lat 70.

Dowiedziałem się oczywiście mnóstwa rzeczy – poznałem wspomnienia z dzieciństwa jednej z siostr mojej babci o tym, jak wyglądało mieszkanie nad bazarem Janasza, historie o obliczach PRL-owskiego luksusu, a nawet natrafiłem na wzruszającą historię dziadka mojego pradziadka, który w połowie XIX wieku musiał być pierwszym, który nauczył się pisać. Więc w kolejnych aktach stanu cywilnego widać coraz pewniejszy jego podpis.

Natomiast kwerenda w IPN-ie, jak się okazało, właściwie nie była już o mojej rodzinie, tylko o całym PRL-u, najrozmaitszych grupach

społecznych, środowiskach, typach – i to było absolutnie fascynujące. Cztery lata pracy, ale było warto.

■ Czy jest jakaś rodzinna tajemnica, której mimo starań nie udało się Panu rozwikłać?

■ Są jakieś drobiazgi; kuzyn mojej babci Lali przed wojną utonął w Warnie i rodzinna tradycja jest taka, że został tam zabity, bo pracował dla polskiego wywiadu. Pewnie powinienem pójść do Centralnego Archiwum Wojskowego i poszukać, ale czy to cokolwiek by zmieniło w samej „Lali”? Nie, to jest wiadomość do przypisu.

■ Co Panu jako artyście daje płaszc historyczny? Opowiadając takie historie, jak np. matki Makryny, chce Pan powiedzieć coś o nas – współczesnych, czy raczej podkreślić, że zmieniają się dekoracje, a natura ludzka pozostaje niezmienna?

■ Natura może i pozostaje niezmienna, w tym sensie, że czujemy namiętności, które czuli bohaterowie Szekspira czy Homera – przynajmniej zwykliśmy tak sądzić, choć jest to ostatnio kontestowane. Natomiast zawsze powtarzam, że ludzie sprzed stu, dwustu, trzystu lat są jak kosmici: myślą co innego, mają inną wiedzę o świecie, fundamentalnie inne przekonania. To nie jesteśmy my, tylko przebrani w krynoliny i sukmany, to są zupełnie inni ludzie.

Niezliczone bogactwo ludzkich historii pozwala po prostu natrafić na opowieść, która jest celną metaforą dla czegoś, co widzimy dookoła – i czego nie możemy opisać z taką swobodą. Albo z taką siłą. Gdybym, dajmy na to, pisał powieść o polskiej rodzinie patriarchalnej i napisałbym o ojcu, który jest głuchy (ha, metafora!) i dałbym tam figurę Saturna pożerającego syna, w dodatku symbolizującego melancholię, czyli depresję, na którą cierpi syn – to byłby to kicz. A gdybym jeszcze napisał, że syn urodził się przy ulicy Rozczarowania, to każdy by powiedział, że to żałosne dociskanie metaforyki kolanem. Tymczasem w historii Francisca i Javiera Goyów to wszystko jest po prostu z życia wzięte. I dlatego działa.

■ W Pana twórczości język zdaje się czasem wysuwać na plan pierwszy. Bogaty w środki stylistyczne, ornamenty, erudycyjne wolty, stał się Pana znakiem rozpoznawczym. Bawi się Pan również konwencjami literackimi. Czy to właśnie najbardziej pociąga Pana w tworzeniu literatury, czy jednak najważniejsza dla Pana jest sama opowieść?

■ Nie ma opowieści bez jej tworzywa. To tak, jakbyśmy myśleli o rzeźbie z niczego albo o utworze muzycznym bez dźwięków, zapisie bez nut. Forma jest treścią, a treść jest formą.



Użytkownik kultury nie zobaczy bezpłatnie spektaklu w operze czy w kinie, koncertu muzyki poważnej ani rozrywkowej, za platformę z filmami też musi zapłacić – a książki może czytać za darmo. I dobrze, ale oznacza to, że pisarze, tłumacze, wydawcy są stradni, bo część czytelników tych książek nie kupi.

Za każdym razem, kiedy wymyślam czy trafiam na jakąś historię, którą chciałbym opowiedzieć, zawsze zaczynam od wymyślenia właściwego dla niej języka, który musi po prostu organicznie z niej wyrastać. Kto mówi, kiedy mówi, jakim językiem, co myśli, jakie są horyzonty jego myślenia? To nie jest kwestia jakiejś sztuki dla sztuki, ornamentów, fi-drygałków, tylko zupełnie podstawowa: jak ktoś chce ugotować rosół, to musi mieć składniki na rosół. Kropka. Może być taki, siaki, może być polski, może być francuskim consommé albo tajskim rosołem z kaczki z anyżem i chilli – ale nie da się go zrobić z dwóch rzodkiewek, oscypka i rukoli, bo z tego rosół nie wyjdzie.

■ Szerokim echem, także z powodu inscenizacji teatralnej Marcina Libera, odbiła się Pana książka „Ale z naszymi umartwymi”, w której pokazał Pan Polskę jako kraj opanowany przez zombie. Tekst powstał kilka lat temu. Czy dziś widzi Pan jakieś nowe siedliska rozkładu, oprócz tych, o których opowiedział Pan w powieści?

■ Nie wiem, czy zombie są metaforą rozkładu; przeciwnie, one są metaforą tego, że coś, co powinno było obumrzeć i odejść, trzyma się życia i zamienia je w koszmar. Jak nacjonalizm właśnie. U nas podsyłany jeszcze paradygmatem romantycznym. Przez ostatnie lata widzimy wielki powrót imperializmu – rosyjskiego, przez wojnę z Ukrainą, amerykańskiego, rojącego o zajęciu Grenlandii, czy izraelskiego. Ale to się akurat z nacjonalizmem ściśle łączy.

■ Szczególnym Pana wcieleniem pisarskim jest Maryla Szymicz-kowa. Tym nazwiskiem sygnowane są kryminały pisane w duecie z Piotrem Tarczyńskim. Czy cykl o profesorowej Szczupaczyńskiej to dla Pana i Pańskiego męża odskocznia od poważniejszych zadań literackich? I czy pisząc, bawią się Panowie również dobrze, jak czytelnicy podczas lektury tych książek?

■ Nie użyłbym słowa „odskocznia”, bo to sugeruje jakąś rozrywkę, a pisanie każdej książki jest po prostu pracą. A jeśli chce się wykonywać jakąkolwiek pracę rzetelnie, to jest to ona angażująca, frustrująca i ciężka. Natomiast gatunek tego kryminału – cosy crime – faktycznie ma być lekki, więc powinien sprawiać wrażenie, że piszemy to dla przyjemności i z uśmiechem na ustach, dokładnie tak, jak tenor „bezwysiłkowo” śpiewający jakąś pieśń neapolitańską. Tyle że on musi się bardzo długo i dużo, i wysiłkowo napracować, żeby wydawało się, że śpiewa bez wysiłku.

Acz jestem pewien, że to są rzeczy literacko mniej istotne niż nasze poważne teksty: moje powieści i wiersze, książki amerykanistyczne Piotra, nasze przekłady wybitnych dzieł literackich, na przykład Faulknera, White’a, Larkina. I pseudonim pokazuje między innymi to, że nie traktujemy tych prac równorzędnie, co jest zresztą jednym z powodów, dla których nowe tomy serii nie wychodzą co pół roku – bo tyle mniej więcej nam zajmuje napisanie kolejnej powieści o profesorowej – tylko trzy-cztery razy rzadziej.

■ Kryminalne klimaty to nie tylko domena Szymiczkowej. W 2024 r. ukazał się tom „Tajna Warszawa. Historie zbrodni, kradzieży i oszustw w międzywojennej stolicy opisane w tygodniku Tajny Detektyw”. Co Pana zainspirowało do sięgnięcia po ten tygodnik i na ile opowieści o opisywanych tam czynach kryminalnych wzbogacają wiedzę o międzywojennej stolicy?

■ Na „Tajnego Detektywa” natrafiłem wiele lat temu, kiedy kupiłem do kolekcji dwa albumy międzywojennych zdjęć policji polskiej: fotografie przestępców, osób zaginionych, zwłok, odzyskanych łupów. Dowiedziałem się, że był taki tygodnik, i pomyślałem, że może uda mi się zidentyfikować część osób ze zdjęć. Okazało się, że niekoniecznie – za to zachwyciłem się czasopiśmem, które okazało się nie tylko fascynujące ze strony edytorskiej, ale też stanowi znakomity wgląd w mniej znane oblicze Polski międzywojennej. Oblicze brudne, na ogół biedne, często prowincjonalne, choć oczywiście opowiada też o elitach społecznych. Przestępstwa zdarzają się wszędzie.

Sam obraz Warszawy jest bardzo różnorodny – mamy i slumsy na Powiślu, i bandytów z Woli, bogatego jubilera czy szantażystkę „z dobrej rodziny”. Polaków, Żydów, Rosjan, Niemców, arystokratki i fordanserów, szpiegów i robotników. Oprócz ciągle pokazywanych scen z drogich dansingów, z luksusowych mieszkań aktorek, które sprawiają wrażenie, że to okres prosperity, widzimy tu często rewers tego obrazu: biedę, wielki kryzys, bezrobocie, desperację.

■ W lutym ukaże się kolejna Pana książka pisana w konwencji „true crime” – „Historie łajdackie”. Na tom złożyły się teksty z różnych lat, odnoszące się do zdarzeń współczesnych i minionych. Wszystkie je łączy tytułowe łajdactwo, ale i ono potraktowane bywa tu bardzo przewrotnie (często nie jest nim to, co z pozoru na nie wygląda). Jak był Pański klucz do skomponowania tych bardzo różnych tekstów w jeden tom?

■ Ja wiem, że wydawca tak napisał, że to „true crime”, ale to tylko wymysł działu promocji. Podobnie jak to, że pisze się o „prozie” czy „książce”, a nie o opowiadaniach, bo opowiadania „się nie sprzedają”. Mam powyżej uszu tego formatowania wszystkiego pod tabelkę spodziewanych zysków.

To są opowiadania. O tym, o czym literatura mówi od zawsze: o miłości i śmierci. Gdyby to zależało ode mnie, to nazwałbym książkę „Opowiadania o miastach i ludziach”, bo w sumie to jest dla mnie motywem przewodnim tego zbioru: to, jak historia i charakter miast przeplata się z wydarzeniami. I owszem, tam są transgresje, ale przestępstwo jest właściwie tylko w jednym z nich: tym, które opisuje czterech mężczyzn, siedzących w knajpie nad wódeczką i omawiających podział łupu po zbrodni. We wszystkich pozostałych tekstach wygląda to inaczej. W „Więżniu Kufsteina” mamy opowieść o metaforycznym uwięzieniu

w społecznym konwenansie; w „Nieznajomej z Sekwany” – samobójstwo z miłości, w „Ćwiartce papieru” – podwójne samobójstwo nie tyle nawet z miłości, co z życiowej beznadziei; w „Głosach” nawet nie do końca wiemy, do czego doszło; w „Biegu okoliczności” wszystko kręci się wokół stołu; „Wicekrólowa Rugii” jest metaforą absurdów kolonializmu. Ale tak, najbardziej interesowało mnie przecięcie miejsca i ludzi: Krakowa, Kadyksu, Warszawy, Greifswaldu, Paryża, i tak dalej. I rytm, rytm zdań.

■ Muszę powiedzieć, że jedno z opowiadań uświadomiło mi, na jakie niebezpieczeństwa się narażam, czytając książki. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że niewłaściwa lektura może stać się impulsem choćby do najazdu na Rugię. Dziękuję za tę przestrożę!

■ No, po stuleciu z „Mein Kampf” powinniśmy mieć świadomość, że książki mogą nas skłonić do znacznie gorszych rzeczy. Choć, oczywiście, co do zasady czytanie – na co mamy potwierdzenie w badaniach – czyni nas raczej odporniejszymi na propagandę i bardziej empatycznymi.

■ W ostatnich latach coraz więcej mówi się o fatalnej sytuacji pisarzek i pisarzy w Polsce. Jest Pan członkiem założycielem Unii Literackiej, reprezentującej interesy tej grupy. Co już udało się zdziałać, a jakie regulacje powinny zostać wprowadzone, by ludziom słowa w Polsce żyło się po prostu lepiej?

■ „Reprezentuje interesy” brzmi bardzo szumnie, zważywszy stan tych interesów. Ale tak, po dekadach zaniedbań, na rynku, który jako jedyny chyba nie ucywilizował się od czasów wolnej amerykanki lat 90., staramy się cokolwiek uratować. Na szczęście mamy życzliwych tej sprawie ludzi zarówno w Instytucie Książki, jak i Ministerstwie Kultury – kolejne badania i raporty pokazują to, co w dzieliśmy i o czym mówiliśmy od dawna, ale teraz mamy to czarno na białym, w konkretnych danych.

Na razie udało się nam wywalczyć niewielkie ulepszenie systemu Public Lending Rights, czyli wypłacanych przez państwo rekompensat dla twórców książek za to, że są one w zasadzie od dnia premiery obecne w bibliotekach za darmo. Użytkownik kultury nie zobaczy bezpłatnie spektaklu w operze czy w kinie, koncertu muzyki poważnej ani rozrywkowej, za platformę z filmami też musi zapłacić – a książki może czytać za darmo. I dobrze, ale oznacza to, że pisarze, tłumacze, wydawcy są stratni, bo część czytelników tych książek nie kupi. Na razie udało się ulepszyć listę bibliotek kontrolnych, gdzie zlicza się wypożyczenia, a niebawem nakłady na PLR

mają zostać podwojone, choć to nadal niewystarczające. Czekamy też nadal – nie tylko my zresztą, ale wszyscy artyści – na przegłosowanie i wprowadzenie w życie systemu ubezpieczeń społecznych dla artystów.

Najintensywniejsze prace są prowadzone nad nową ustawą o książce. Mamy nadzieję, że ucywilizuje ona nieco ten dziki rynek i sprawi, że będziemy otrzymywali większą część zysków ze sprzedaży książek. Obecnie nominalnie książka kosztuje średnio 57,50 zł, ale cena okładowa jest fikcyjna; faktycznie płacimy za nią średnio 40,20 zł, a autor dostaje średnio... 2,87 zł od egzemplarza. Większość tortu, ok. 50-60%, zabierają dystrybutorzy.

Natomiast uważamy, że Polska musi stworzyć dla literatury odpowiednik PISF-u, czyli fundusz, który z opłat dystrybucyjnych będzie dotował to, co wartościowe, cenne, ale często nierentowne. PISF postawił na nogi polskie kino po okresie zapaści, polska literatura jest teraz w analogicznej sytuacji i to naprawdę ostatni dzwonek, żeby ją systemowo ratować.

■ Dziś, kiedy Europa pod wpływem nacjonalizmów znów się dzieli i buduje mury na granicach, gesty takie, jak ta nagroda, są szczególnie ważne – mówił Pan w przemówieniu na uroczystości wręczenia Nagrody Lindego. Wierzy Pan w to, że literatura ma moc przemiany świata?

■ Wierzę, że każdy z nas ma moc przemiany świata, bez względu na to, co robi. Znam starszego pana z jednego z warszawskich bazarów, który prowadzi sklepik z suszonymi owocami i bakalią – kiedy zaczęła się wojna w Ukrainie, wywiesił cytat o tym, że kto nic nie mówi przeciwko zbrodni, staje się jej współnikiem. Ja nic nie mogę właściwie – powiedział – ale tyle mogę.

Więc to nie tak, że ktoś pisze książkę i nagle wszystko się zmienia. Raczej tak, że jeden wywiesza taką kartkę, która komuś da do myślenia, drugi zrzuca się na kamizelki kuloodporne albo drona, trzeci przyjmuje rodzinę uchodźców, czwarty pomaga na granicy. A piąty pisze książkę, która może przekonać szóstego i siódmego. Wierzę, że moc przemiany świata ma ten wspólny wysiłek.

Rozmawiała
Magdalena Kujawa

Jaka kultura?

W jakich wydarzeniach Torunianie uczestniczą najchętniej, jak często korzystają z oferty kulturalnej, jakie instytucje odwiedzają – te i inne pytania postawili mieszkańcom socjologowie z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w ankiecie Toruńska Diagnoza Kultury. Odpowiedzi można udzielać do 15 lutego.

Ankieta powstała na zlecenie Wydziału Kultury Urzędu Miasta Torunia, a jej celem jest zapoznanie z praktykami, opiniami i oczekiwaniami mieszkańców miasta w sferze kultury. Zespół pod przewodnictwem prof. Tomasza Szlendaka poprosił respondentów o odpowiedzi na pytania m.in. o to, ile czasu dziennie poświęcają na zajęcia związane z kulturą, z kim najchętniej uczestniczą w wydarzeniach, co ogranicza ich aktywność w tej sferze, jakie preferują pory dnia na uczestnictwo w kulturze, jakich zmian oczekują. Pozyskana z ankiety wiedza będzie z pewnością pomocna zarówno twórcom wydarzeń, jak i władzom miasta w programowaniu oferty kulturalnej.

– Diagnoza to także wstęp do aktualizacji „Strategii rozwoju kultury”, czyli dokumentu wyznaczającego kierunek działań miasta w tej sferze na kolejne lata – podkreśla **Tomasz Maliszewski**, dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Miasta Torunia. – Dzięki pozyskanej w ten sposób wiedzy o preferencjach i nawykach mieszkańców możemy lepiej kształtować miejską politykę kulturalną.

Jeśli jeszcze tego Państwo nie zrobili, zachęcamy serdecznie do udziału w ankiecie, by zyskać realny wpływ na ofertę w tej dziedzinie. Kulturę tworzymy przecież dla odbiorców.

Link do ankiety: https://copernicusphilo.qualtrics.com/jfe/form/SV_4O3KtHl5k7jPh8G. Znajdą go Państwo również w postach na Facebooku „Ikara”. Ankieta jest w pełni anonimowa. **(mk)**



PoRUSZają

■ „Tworzymy sztukę, bo wierzymy, że ma ona moc **łączenia** ludzi, odczuwania empatii i pobudzania do myślenia. To narzędzie, które pomaga lepiej zrozumieć siebie i innych” – mówi Rafał Góralski, który od 1999 r. wraz z Joanną Górską tworzą **bilbordową Galerię Rusz**.

Przez wiele lat obok targowiska przy Szosie Chełmińskiej, a obecnie na Wałach gen. Sikorskiego w sąsiedztwie CSW oraz na rogu ulic Gagarina i Reja, przechodnie mogą oglądać bilbordy, na których nie ma reklam. Jest za to ubrana w artystyczną formę refleksja o życiu i świecie, wobec której trudno przejść obojętnie. Artyści odwrócili pewien porządek: nośnik, który zwykle służył nastawianiu uwagi odbiorców na dobra materialne, oni wykorzystali, by promować wartości estetyczne i duchowe. Z kolei sztukę, zamkniętą zazwyczaj w przestrzeni galerii, wyprowadzili na ulice, do ludzi.

Swoje działania Galeria Rusz z powodzeniem realizuje już ponad ćwierć wieku, raz w miesiącu umieszczając w przestrzeni publicznej nowe dzieło. „Nie ma sytuacji, której nie można wykorzystać, by zmienić świat na lepsze”, „Zbyt zajęty, by żyć”, „Urojone sny niektórych są naszą rzeczywistością”, „Każdy może stać się, kim chce. Na przykład sobą” – to tylko kilka przykładowych haseł, które można było przeczytać na galeryjnych bilbordach. W dorobku grupy są też akcje uliczne, prezentacje mobilne (np. na autobusach komunikacji miejskiej) oraz organizowany przez Fundację Rusz Międzynarodowy Festiwal Sztuki na Bilbordach „Art Moves”.

Ćwierćwiecze działalności zwieńczone zostało wydaniem niedawno albumem „25 lat Galerii Rusz”. Możemy w nim zobaczyć reprodukcje najważniejszych realizacji twórców, przeczytać ich wypowiedzi



oraz refleksje odbiorców. Warto kartkować ten album niespiesznie, odkładać go i wracać do niego, by jeszcze raz dać się ponieść refleksjom wywołanym pracami artystów. Bilbordy z reklamami nakłaniają do kupowania wciąż więcej i więcej, i jakże często im ulegamy. Ulegajmy bilbordom Galerii Rusz – by myśleć więcej i czuć więcej.

(mak)



KONKURS

Dla naszych Czytelników od Galerii Rusz mamy 2 egzemplarze albumu z okazji 25-lecia grupy. Aby go otrzymać, należy do 15 lutego nadesłać na adres ikar@um.torun.pl krótką wypowiedź o tym, co najbardziej porusza w sztuce Galerii Rusz.



Fot. Wojtek Szabelski



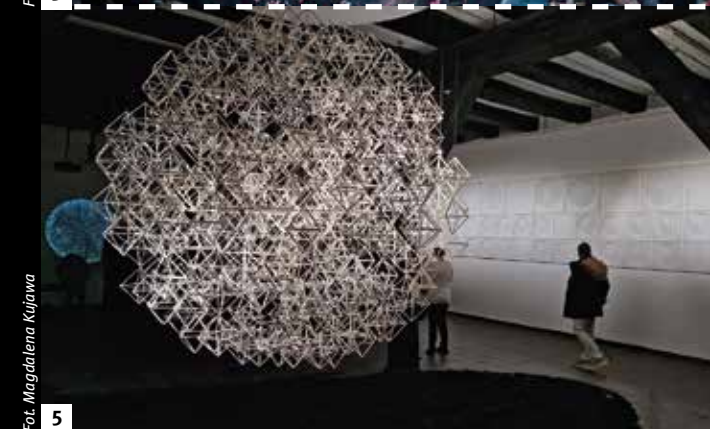
Fot. Wojtek Szabelski



Fot. Wojtek Szabelski



Fot. Magdalena Kujawa



Fot. Magdalena Kujawa

1. Pożegnanie starego i powitanie nowego roku z Sylwestrową Mocą Przebojów Telewizji Polsat
2. Audycja „Top Radia 357” prowadzona w Nowy Rok na żywo z Od Nowy
3. Orszak Trzech Króli
4. Premiera „Bez alko i dragów jestem nudna” w Teatrze Horzycy
5. Wystawa „The Circle” Wojciecha Ireneusza Sobczyka w Galerii Wozownia, czynna do 8 lutego

Motyw zawsze się znajdzie

■ **Długie, zimowe wieczory sprzyjają spędzaniu czasu z kryminalnymi zagadkami. Nie trzeba opuszczać przytulnego domowego zacisza, aby skonfrontować się z mrokiem ludzkiej natury i dać się wciągnąć w emocjonujące śledztwo.**

Powieści Keigo Higashino oferują miłośnikom kryminałów oddech od klasycznej formuły poszukiwania mordercy. W „Złej woli” winny zostaje schwytany szybko, nie chce jednak wyjawić motywu zbrodni. To właśnie odkrycie „dlaczego?” staje się głównym celem policyjnego dochodzenia. Okazuje się, że rozwiązywanie tak skonstruowanej zagadki może być niezwykle satysfakcjonujące.

Kiedy zamordowany zostaje autor bestsellerowych powieści, detektyw Kaga wkracza do świata pisarzy z rezerwą i niechęcią do zadowalania się najprostszymi odpowiedziami. Podejmuje intelektualną grę z podejrzanym, a jej kolejne odsłony poznajemy z punktu widzenia dwóch narratorów, w formie notatek i dzienników. Autor zdradza szczegóły stopniowo, nie ujawniając jednocześnie wprost tropów, którymi podąża policjant. Pozwala dzięki temu czytelnikom na samodzielne próby rozwiązania łamigłówek, zwodząc ich przy tym niejednokrotnie na manowce w sposób, którego nawet nie podejrzewają. Dochodzenie do prawdy jest w tym przypadku równie interesujące, jak odkrywanie zastawionych na czytelników pułapek i wszystkich węzłów tej zmyślnie zagmatwanej intrygi.

Zagłębiając się w przeszłość ofiary, Kunihiko Hidaki, i osób z jego otoczenia, Kaga staje przed fundamentalnymi pytaniami o naturę

człowieka i różne wymiary zła. Odpowiedzi szuka, rozmawiając z osobami, których inni policjanci być może nigdy nie powiąziliby ze sprawą, i czytając uważnie dostępne materiały. Wątek pisania i jego sprawczych mocy jest w powieści niezwykle istotny i szeroko rozważany, co może być jej dodatkowym atutem dla wszystkich kochających książki.

W „Złej woli” brakuje charakterystycznego dla thrillerów tempa i dynamiki, a jednak trudno się oderwać od lektury. Miejsce sensacyjnych zwrotów akcji zajmuje żmudne dopasowywanie niepozornych elementów układanki, możliwe dzięki inteligencji i docieklivości detektywa Kagi, któremu czytelnik po prostu chce towarzyszyć. Być może będzie ku temu więcej okazji – „Zła wola” to pierwsza część cyklu.

Keigo Higashino
Zła wola, przeł. Andrzej Świrkowski
Wydawnictwo Relacja



KONKURS

Dla naszych Czytelników od Księgarni Kafka i Spółka mamy egzemplarz książki Keigo Higashino. Aby go otrzymać, należy do 15 lutego nadesłać na adres ikar@um.torun.pl krótką wypowiedź o tym, za co lubią Państwo kryminały.

DWÓR ARTUSA

zwiedzanie z przewodnikiem

TERMINY: ARTUS.TORUN.PL



DWÓR
ARTUSA
CENTRUM KULTURY
INSTYTUCJA MIASTA TORUŃ



MIASTO
TORUŃ

Centrum Kultury Dwór Artusa jest samorządową instytucją kultury, której organem założycielskim jest Gmina Miasta Toruń.

bilety

w kasie: 10 minut przed
wydarzeniem
online: artus.torun.pl

rezerwacje grupowe:
edukacja @artus.torun.pl

Na ostrzu noża

Scenariusz:
Joanna Kowalska

Reżyseria:
Piotr Ratajczak

Premiera:
28.02.2026